

**Dawid D**

## **Życie po Syberii - historia Janki**

Losy Polskich rodzin za czasów II wojny światowej były bardzo kręte i wypełnione cierpieniem. Wielu z nich po dzień dzisiejszy pamięta pierwsze dni po powrocie na polskie ziemie, gdy zakończyła się II wojna światowa. W mojej rodzinie żyła prababcia, która za swojego życia opowiedziała mi swoją historię. Jej życie to istny scenariusz na film historyczny. Ale to przecież historia, która wydarzyła się naprawdę. Miejmy tylko nadzieję, że nasze dzieci nigdy nie będą musiały przeżywać tego, co przeżyli nasi pradziadowie...

Moja prababcia - Janina Polańska z domu Węgrzyn urodziła się 20 października 1930 w Orchowicach na tzw. Kresach Wschodnich. Jest to wieś na Ukrainie, w rejonie Samborskim obwodu lwowskiego, gdzie mieszkała ze swoimi rodzicami i licznym 10-cio osobowym rodzeństwem.

Życie płynęło im spokojnie jak na tamte czasy, uprawiali ziemię i hodowali zwierzęta. Żyli po prostu jak przystało na ludzi ze wsi. W marcu 1940 roku, gdy prababcia miała 10 lat, od roku trwała już wojna. Rozpoczął się oprócz terroru Niemców, terror ze strony Rosjan, aresztowania ludności i zsyłki na Sybir, które były wtedy codziennością. Zaczęła się gehenna, która to na długo pozostawiła ślad w ich pamięci.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem na stację w Orchowicach podstawiono pociąg z wagonami towarowymi. Nikt jednak nie zwracał na nie szczególnej uwagi, lecz kolejarze wiedzieli dla kogo są one przeznaczone i że długo puste stać nie będą, ponieważ dochodziły ich słuchy z całej Polski o zsyłkach ludności na Sybir. Już w lutym 1940 roku zaczął się najtragiczniejszy okres w dziejach polskich rodzin, bo to właśnie wtedy do ich domów zaczęło wchodzić NKWD i zabierać ich na Syberię. Na rodzinę mojej prababci padło to dopiero dwa miesiące później w kwietniu, ale koszmar ten toczył się już od lutego w tysiącach innych domów. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku do ich domu wtargnęły rosyjskie wojska, które kazały im natychmiast się ubrać i wyjść przed dom. W tym czasie oni szukali broni i splądrowali im całe gospodarstwo, grożąc przy tym i poniżając ich.

Nie każda rodzina zostawała zsyłana na Syberię. Trafiali tam tylko ludzie którzy mieli coś wartościowego, na przykład majątek lub dobry zawód. Ojciec prababci był cenionym szewcem, a jego syn Bronisław krawcem, mieli również duży obszar roli pod uprawę, a to w tamtych czasach miało wielkie znaczenie. W międzyczasie, gdy w środku nocy wychodzili

z domu, udało się im wziąć pościel, trochę jedzenia i ciepłe kurtki, które mieli pod ręką. Po wyjściu, a w zasadzie po wygnaniu z domu, zapakowano ich do sań i wieziono na najbliższą stację, gdzie już od wielu godzin zwożono i pakowano ludzi do wagonów. Prababcia mówiła, że była tam ludność z otaczających stację wiosek. Wszyscy dorośli i dzieci byli bardzo przestraszeni, wyziębieni i pełni obaw co się dalej z nimi stanie. Jechali przed siebie w wyziębionych wagonach, w których było nawet po 60 osób, nie wiedząc dokąd, nie wiedząc gdzie, w bardzo tragicznych warunkach. Okna, ściany i podłogi miały w sobie wiele dziur i pomimo tego, że niektóre były pozabijane deskami, to i tak podczas przejazdu 20-stopniowy mróz dawał im się bardzo we znaki, tak jak pasożyty i choroby, które w tych warunkach były powszechne. Osoby stare i chore, które umierały w wagonach, były wyrzucane na wieczną zmarzlinę, bez żadnego pochówku. Ta „katorga”, jak określała to prababcia, trwała prawie cały miesiąc. „Czuliśmy się jak zwierzęta jadące na ubój, żołnierze powiedzieli nam jedynie że jedziemy do Rosji, nic więcej” - mówiła prababcia. Gdy już dojechali na stację w Związku Sowieckim, pierwsze co zobaczyli, to częściowo zamrożony znak, z którego udało się odczytać napis „Krasna-Jarska obłast”, po czym ich oczom ukazała się bezkresna połać śniegu i tysiące hektarów lasów. Wycieńczeni po długiej podróży musieli jeszcze przejechać sześć kilometrów w głąb lasu, gdzie na polanie stało pięć równoległe wybudowanych drewnianych baraków. W tych prowizorycznych domach mieli zamieszkać. W barakach mieszkaly nawet po cztery rodziny, które do dyspozycji miały jedną wielką izbę z dwoma piecami i piętrowymi łózkami. Żyło się tam tragicznie. Każdy dzień był nieustanną walką z zimnem, głodem, wszechobecnym robactwem (zwłaszcza pchłami i wszami), chorobami, a przede wszystkim strachem, co przyniesie następny dzień. Gdyby nie miłość, którą okazywali sobie nawzajem i zawziętość ludzkiej woli przeżycia, nikt żywy nie wróciłby do ojczystego kraju. Ludzie musieli jednak dostosować się do trudów życia, jakie niosła im wojna. Dzieciom w tych trudnych czasach pozostały jeszcze marzenia, natomiast dorośli nie mieli na to czasu, gdyż musieli ciężko pracować za niewielkie przydziały żywnościowe. Chłopi musieli pracować w lasach przy wycince drzewa, za co dostawali miskę zupy składającą się zazwyczaj z wody i małego kawałka brukwi. Natomiast kobiety pracowały na polach oraz zajmowały się domem i dziećmi. Od czasu do czasu, w tajemnicy przed wojskiem, udawało im się znaleźć jakieś warzywa na polu, albo dziko rosnące owoce i grzyby, dzięki którym zyskiwali pokarm na kolejny dzień. Lecz rzadko zdarzała się taka okazja, bo zimą przy minus 40-stu stopniach w lasach nic nie rosło, a latem roiło się tam od niedźwiedzi i wilków. Jednak gorsze od ciągłej walki o pokarm były choroby, które wręcz dziesiątkowały Sybiraków.

Najgorszą z nich był zaraźliwy tyfus roznoszony przez pluskwy, których było pełno w wilgotnych i brudnych barakach. Tak minęło prawie 6 lat ciągłej walki o kolejny dzień.

Rok po zakończeniu wojny, w 1946 roku, prababcia wraz z matką, ojcem i rodzeństwem wrócili z Syberii na polskie Ziemie Odzyskane a dokładniej na Dolny Śląsk, gdzie wracali już nie w wagonach na bydło, ale w normalnych wagonach z przedziałami dla ludzi. Wszyscy oprócz jednej siostry, która z innym transportem pojechała do Szczecina, wysiedli na Dolnym Śląsku w Lubinie. Pociąg, którym jechali z Syberii wioził „Sybiraków” docelowo do Szczecina, lecz z niewiadomych im przyczyn zatrzymał się na stacji w Lubinie. Ludzie pomimo wszechobecnego chaosu orientowali się w sytuacji powrotu bliskich z Syberii, a więc i trójka braci którzy wrócili z frontu i osiedlili się we wsi Gogołowice nie próżnowali, tylko po otrzymaniu wieści, że pociąg z Sybirakami zatrzymał się w Lubinie, (to 12 kilometrów od wsi Gogołowice) z niecierpliwością ich wyczekiwali. Gdy jeden z braci dowiedział się, że transport właśnie zatrzymał się w Lubinie, zostawił prace na roli i wsiadłszy na furmankę pojechał po nich na stację. Prababcia opowiadała: „Gdy już wjeżdżaliśmy na stację w Lubinie, naszym oczom ukazały się setki ludzi machających nam. Każdy czekał na swoje rodziny. Wszyscy popłakali się ze szczęścia i rzucili sobie w ramiona, był tam i mój brat, którego dostrzegłam wśród tłumów. Za każdym razem, gdy o tym opowiadam, oczy zachodzą mi łzami, ponieważ był to najpiękniejszy widok jaki ujrzałam od czasów zesłania nas na Sybir”. Gdy już przyjechali do domu brata, rodzice postanowili z nim zamieszkać w Gogołowicach, lecz na krótko, gdyż w domu w którym mieszkali, żyła już rodzina brata i było dla nich za tłoczno, więc przygarnął ich kolega brata z frontu, który miał wolny dom we wsi Lisowice i użyczył im go na okres paru miesięcy. Niedługo potem wrócili z powrotem do Gogołowic, gdzie osiedli się na stałe i otrzymali od państwa wolne domy i ziemię. Tam prababcia poznała swojego przyszłego męża - Stanisława Polańskiego, któremu oddała swoje serce i wraz z nim zamieszkała parę domów dalej. Żyło im się nieźle jak na czasy powojennej Polski, ponieważ pradziadek za zasługi wojenne i odwagę dostał wiele odznaczeń, przydział na dom i 8 hektarów ziemi. Jak większość ludzi na wsi, został rolnikiem. Prababcia natomiast zajmowała się domem i pomagała w pracach na roli. Dzięki ziemi otrzymanej od państwa, mogli robić pierwsze zasiewy i zbierać pierwsze plony, które były podstawą ich wyżywienia. Na całą wieś przypadały tylko cztery krowy, a jedna z nich znajdowała się w gospodarstwie moich pradziadów. Mogli dzięki temu wyżywić całą rodzinę nie opierając się wyłącznie na płodach rolnych. Pomimo ubóstwa i powszechnego braku żywności, musieli dokonywać obowiązkowych kontyngentów na rzecz państwa, które zależały od wielkości gospodarstwa. Ociągających się z dostawami karano w przyspieszonym trybie aresztem. Dostawy były

obowiązkowe, realizowane po cenach ustalonych przez państwo, za co rolnicy otrzymywali rekompensatę w postaci pieniędzy lub przetworzonych towarów – na przykład jeżeli oddali buraki, to otrzymywali cukier. Jeśli gospodarz nie był w stanie wywiązać się ze zobowiązań, musiał się zwrócić o pomoc do sąsiadów odkupując lub pożyczając od nich nadwyżki plonów i zwierząt. Pomimo braku narzędzi i ciężkiej fizycznej pracy na roli z jaką przyszło im się zmierzyć w powojennej Polsce, mogli liczyć na pomoc okazywaną jeden drugiemu. Pożyczali sobie narzędzia, których prawie wcale nie było, dzielili się między sobą dobrami oraz wzajemnie sobie pomagali w pracach rolniczych, odbudowach domów i trudach życia codziennego. Pomimo wspólnego zaangażowania w odbudowę Polski znaleźli się też tacy, co jeździli po wioskach rabując gospodarstwa. Ta sytuacja zmusiła mieszkańców wsi do organizowania nocnych patroli, które pilnowały gospodarstw przed rabusiami. Rok później, w 1948 urodziło się im pierwsze dziecko, które przez brak opieki zdrowotnej niestety zmarło parę dni po porodzie na odrę, ale w przeciągu paru lat pradiadkowie doczekali się jeszcze szóstki dzieci,- tj. pięciu córek i jednego syna. Za swojego życia doczekali się również jedenastu wnuków i szesnastu prawnuków. Gdy ich synowi Janowi urodziło się pierwsze dziecko, przekazali mu dom i ziemię w zamian za emeryturę od państwa i opiekę do końca życia. Syn Jan ożenił się i po dzień dzisiejszy gospodaruje na ziemi ojca i ma trzech, już żonatych synów. Natomiast córki pradiadków wyszły za mąż i wyprowadziły się z rodzinnego domu.

Pomimo starań władz polskich, którym bardzo zależało na edukacji ludności, mało komu udawało się zdobyć wykształcenie, ponieważ liczba nauczycieli była bardzo mała, a same dzieci musiały pomagać rodzicom na polach. Jednak ludzie radzili sobie z tym wysyłając dzieci do szkół wieczorowych oraz dziennych. Dostęp do edukacji był trudny, więc tylko nielicznym udało się wyrwać ze wsi i zdobyć jakieś wykształcenie.

Jedyną z córek która zdobyła wyższe wykształcenie jest moja babcia, a mianowicie Danuta Duda z domu Polańska, której udało się ukończyć wyższe studia pedagogiczne, po których jako dyrektorka z zamiłowaniem prowadziła przedszkole przez 40 lat. W tym czasie urodziła ona dwójkę dzieci, Sławka i mojego tatę Marcina. Synowie ożenili się i doczekali dzieci. Ja jestem synem Marcina.

W roku 2009 w wieku 87 lat zmarł na udar mąż prababci - Stanisław Polański. Sama prababcia zmarła 10 lat później także na udar, dokładnie 5 stycznia 2019 mając również 87 lat. Pamiętam pogrzeb babci po dzień dzisiejszy, ponieważ zimy w tym roku prawie nie było, a jednak gdy szliśmy z procesją pogrzebową na cmentarz, dokładnie od wyjścia z kościoła zaczął padać gruby i gęsty śnieg, jak na Syberii. Była to piękna chwila, zważając

na przeszłość prababci. Wspominam czasami te chwile, gdy prababcia opowiadała mi swoje lata z okresu wojny, wracając do nich melancholijnymi i pełnymi refleksji przemyśleniami nad tym, jakie cierpienie przyniosła ludziom wojna i lata spędzone na zsyłkach. Prababcia często także opowiadała o tym, jak było po wojnie tu, na Dolnym Śląsku, wspominając ten okres jako czas dążenia do szczęśliwego życia, a także powszechną biedę. Podziwiam prababcię za to co przeżyła, pomimo swojego młodego wieku i za to, że nie poddała się w tych trudnych życiowych sytuacjach. Z Syberii wrócili nieliczni ludzie, ci najsilniejsi i odporni na przeciwności losu. Prababcia była taką osobą i pozostanie na zawsze w naszych sercach

i pamięci jako bohaterka i kobieta godna podziwu.

Dla niej najważniejsza zawsze była rodzina, dzięki rodzinie można osiągnąć wiele. Rodzina daje siłę w ciężkich sytuacjach i dzięki temu można przetrwać nawet najgorsze chwile w życiu. Dzięki prababci nasza rodzina po dzień dzisiejszy trzyma się razem i zawsze mamy wsparcie we wszystkich członkach naszej licznej rodziny.







Mama-Zanka, ciocia-Fla'sia Pilek  
Wujek → Janek, Broniek, Józek Hegymonice

Weteran II wojny  
światowej  
Stawisław Polański









